

## Klif, historia osobista

#

Wiedziałem, że sen, który dawał ukojenie, kończył się bezpowrotnie. Od prawdziwego życia odgradzały mnie już jedynie opuszczone, kruche powieki, popękana ze starości tama stojąca na drodze rwących potoków, wyraźnie zmartwiona nowymi rysami. Jak niemowlę trzymające bezpieczny palec matki, kurczowo chwyciłem się strzępków snu. Niestety, wbrew wszystkim moim staraniom, coraz mniej wyraźne impresje rozplýwały się w przestrzeni niedostępnej podświadomości.

Stałem nagi w korytarzu galerii własnej wyobraźni i obserwowałem, jak bezpowrotnie giną namalowane przeze mnie obrazy. Przez chwilę miejsca po nich świeciły szarymi prostokątami, wyraźnie odcinającymi się od jednolitości wyblakłych ścian. Mogłem przysiąc, że czułem jeszcze ulotny zapach olejnych farb. Na ostatnim znikającym płótnie dojrzałem twarz zatroskanego człowieka, skąpaną w promieniach wschodzącego słońca. Poczulem. Bez pytania o zgodę, wdzierały się we mnie, za nic mając kurtyny zaciśniętych powiek. Rzeczywistość brutalnie realizowała swój własny plan. Błogie ciepło skuliło się, ustępując miejsca chłodowi poranka.

Wraz z nim przyszedł tępy, pulsujący ból. Uderzał w dłoń z regularnością mechanicznej prasy, a pozbawione emocji nerwy przesyłały bolesne, elektryczne impulsy. Poddałem się ich rytmowi, usiłując zrozumieć sytuację, w której się znalazłem. W krótkiej chwili wytchnienia, kiedy bezlitosny oprawca przygotowywał się do zadania kolejnego ciosu, otworzyłem oczy, by zaraz tego żałować. Światło przebiło oczy tysiącami bolesnych szpilek. Przez zaciśnięte zęby wciągnąłem lodowate powietrze, a wraz z nim słony smak. Sól?

Gdzie ja jestem?

Kolejną podarowaną przerwę w cierpieniu wykorzystałem, żeby odwrócić głowę w kierunku cienia. Oczekałem do momentu, aż wewnętrzna strona moich powiek straci na intensywności i przyjmie łagodną, znośną dla oczu jasność. W końcu nieśmiało je uniosłem, podobnie jak aktor niepostrzeżenie uchyla teatralną zasłonę, ciekawej reakcji ludzkich twarzy. Chwilę zmagalem się z ostrością, niczym znaleziony na zakurczonym strychu aparat. Ostatecznie niewyraźna plama zmieniła się w mokrą ciemną skałę. Na skórze czułem niezliczone ilości kropel własnego potu. Nadstawiłem ucha. Szum wzburzonego morza uświadomił mi, że to nie jest wyłącznie pot. Oczami wyobraźni widziałem drapieżne, spienione ze złości fale pragnące zabrać w otchłań wygładzone kamienie. Męcząca kakofonia dźwięków wypełniała po brzegi świadomość.

Widok pode mną potwierdził jedynie namalowaną wcześniej wizję. Jakimś dziwnym zrządzeniem losu ocknąłem się wisząc na skalnym klifie. Kompletnie zdezorientowany, rozejrzałem się dookoła. Sina z wysiłku dłoń z nadludzką siłą obejmowała drobny, skalny występ. Z niedowierzaniem patrzyłem na wbite między kamienie palce, na których zdążyły już zastygnąć strużki krwi. Szybko dotarło do mnie, że źródłem tych skutych w odcieniach czerwieni rzek są rany po wyrwanych paznokciach. Ich zmasakrowane szczątki kurczowo trzymały się jeszcze palców, jakby licząc na cudowne zespolenie. Kolejne uderzenie. Tym razem było inne, nie tępe, lecz ostre jak skalpel wiedziony wprawną ręką sądowego patologa. Całym sobą czułem, jak posuwał się beznamiętnie, tnąc martwe tkanki. Z tą jedną różnicą, że moje ciało wciąż żyło. W akcie desperacji spiąłem mięśnie i ostatnimi siłami podkurczyłem nogi. Ta fatalna decyzja sprawiła, że prawie odpadłem od wilgotnej ściany. Byłem już pewien, że stracę ramię, na którym znowu zawisło całe moje zmasakrowane ciało.

Panicznie rozpocząłem poszukiwania ratunku. Palce jednej z nóg wymacały niewielką szczelinę, co tylko nieznacznie pozwoliło odetchnąć poturbowanej dłoni.

Patrzyłem zdziwiony na moją bosą stopę, zastanawiając się, gdzie podziały się moje ubrania. Byłem nagi i niczego nie pamiętałem. Druga stopa bezustannie przeszukiwała śliską skałę, która nie ułatwiała jej znalezienia bezpiecznego miejsca. W końcu zaparła się na czymś, czego nie mogłem dojrzeć. Nie spadłem i to było najważniejsze. Po krótkim odpoczynku, strząsnąłem z czoła posklejane krwią włosy i ostrożnie spojrzałem w górę. Po szarobure niebo pięły się miliony ton skały. Ten widok mnie przytłoczył. Monotonną scenerię dopełniał brak jakichkolwiek cieni, co dowodziło, że i słońce postanowiło mnie opuścić. Przegrany, samotny człowiek bez szansy na przeżycie. Dygocząc z zimna, ponownie przywarłem do ściany. Nie miałem pojęcia, co robić.

Im dłużej myślałem o beznadziejności, w której się znalazłem, tym bardziej narastał we mnie strach. Strach przed nadchodzącą śmiercią. Ja nie mogłem umrzeć. Nie teraz! Wpadłem w panikę. Wszystko, co miałem, co osiągnąłem, oddałbym za ratunek. Liczyło się wyłącznie życie.

I wtedy opuściły mnie wszystkie siły, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z elektrycznego gniazdka, jednocześnie we wszystkich mięśniach. Z przerażeniem w oczach zacząłem oddalać się od utrzymującej mnie przy życiu skały.

Czas nagle zwolnił, by ostatecznie się zatrzymać. Chwycił mnie w swoje ramiona i otulił ciszą. Już nie słyszałem wiatru. Widziałem kłótlive ptaki unieruchomione w gęstej szarości nieba. Z nieznaney przyczyny wszystko stanęło. Wszystko oprócz mojego postrzegania. Jakby wszechmocny zegarmistrz pochylił się nade mną, dając mi jeszcze kilka ostatnich chwil życia. Tylko w jakim celu? Zastanawiałem się, tkwiąc w objęciach czasu i przestrzeni. Tak minęło kilka godzin albo kilka sekund. Nie wiem. Bezlitośnie uwięziony w jednym z ogniw łańcucha zdarzeń, nie mogłem ocenić, jak długo trwał ten stan. Jedynym „zegarem” były następujące po sobie myśli. Pierwsza „tik”, potem druga „tak”, trzecia „tik” i

kolejna. „Tik-tak”. „Tik-tak”. Coraz więcej myśli, które ściagały się ze sobą, wypełzając z każdego zakamarka mojego zdewastowanego „ja”. Każda uważała się za najważniejszą. Wycofałem się, stając się niemyim świadkiem ich zmagania. Obojętnie obserwowałem proces niszczący mój ostatni zegar.

Nie mając na nic wpływu, przyglądałem się z boku ich walce. W galerii mojej wyobraźni każda z nich na krótką chwilę stawała się barwnym obrazem. Na jednym widziałem roześmiane, szeroko otwarte oczy mojej ślicznej córeczki patrzącej na mnie z ufnością. Kolejny obraz, na którym złoścę się na swojego syna i zostawiam go z myślą, że go nie kocham. Widzę, jak czuje się winny i płacze samotnie w swoim małym pokoju. Trzask starej migawki. Kolejne "dzieło" w złotych ramach, ze mną pełnym pychy w drogim samochodzie. Ale nie na mojej pustej dumie skupiła się ręka malarza, lecz na szczęśliwej twarzy ojca bawiącego się w tle z własnymi dziećmi. I ta myśl szybko znika. I widzę ukochaną kobietę, która się modli o moją duszę. I widzę jedną lśniącą kroplę łzy, opuszczającą oczy pełne nadziei.

I tak przemierzałem pokoje wypełnione chwilami z mojego życia. Jak ślepiec odzyskujący wzrok, zacząłem widzieć świat oczami. Stopniowo ogarniał mnie spokój. Wizje ustąpiły miejsca jednej wyraźnej myśli. To odpowiedź, której podświadomie pragnąłem przez całe moje życie. Teraz ją znalazłem, zrozumiałem, że to ja sam jestem malarzem życia. To ja, wśród tysięcy danych mi możliwości, wybieram tematy obrazów. To ja decyduję, którego koloru użyję. Dałeś mi wybór wśród nieskończonej ilości barw, które stworzyłeś. Tylko, że sam nigdy bym tego nie zrozumiał. Dziękuję.

Czas ruszył, dosłownie chwilę przed eksplozją adrenaliny. Ta sprawiła, że ból zniknął, a w wyczerpane ciało wstąpiła niepojęta energia. Jak sokół, przed którego wzrokiem nic się

nie ukryje, przeczesywałem klif w poszukiwaniu wystających skał. Nie mogę umrzeć teraz, kiedy Ty otworzyłeś mi oczy. Jeszcze nie.

W całej tej beznadziejności wierzyłem, że przetrwam. Kurczowo trzymałem się życia, jak półmartwy pacjent w śpiączce od lat zajmujący szpitalne łóżko. Wyobrażałem sobie szum maszyny podającej tlen. Dziurawy akordeon, na którym nie da się zagrać. Widziałem ekran z pulsującą linią serca, będącą jedynym dowodem życia i ostatnią granicą przed nieuchronnym przeznaczeniem. Widziałem smutek w oczach córki trzymającej rękę ojca. To były oczy mojej małej córeczki. Głęboko w nich ujrzałem wybaczenie. Chwyliła mnie mocniej za rękę.

I w tym jednym momencie przestałem spadać. Zatrzymałem się i nagle ruszyłem w górę, niesiony skrzydłami mojego Anioła. Poddałem się i z bezwładnie odchyloną do tyłu głową, ufnie złożyłem swój los w jej ręce.

Świat poniżej mnie wypełniony był ludźmi. Wspinali się po skałach, pięli się z jedną tylko myślą: żyć. Widziałem też takich, którzy krzycząc w złości, przegrywali z własną niemocą, a potem byłem świadkiem, jak wyczerpane puste ciała bezwładnie leciały w dół. Widziałem zarówno ich otwarte, krwawiące rany, jak i te stare, zabliźnione, świadczące o niezliczonych próbach ocalenia. Dobrze znałem ten ból. Widziałem w ich oczach strach, a potem rozpacz, gdy znowu spadali. Patrzyli wtedy w moje oczy z rezygnacją, która kradła im resztki nadziei.

Bezkresna ludzka masa. Nagie, pozbawione ubrań, blade ciała kobiet i mężczyzn, czasem przyodziane w poszarpane szczątki schludnych niegdyś ubrań. Jak na surrealistycznych obrazach gotyckiego artysty, Hieronima Boscha. Byli wszędzie, aż po kres widoczności. Starzy i młodzi. Czasem tworzyli na chwilę ludzkie drabiny, wspinając się na zmianę po cudzych plecach. Ktoś przypadkowo pociągnął w dół swojego chwilowego kompana. Inny zaś w desperacji celowo zepchnął, widząc w tym ratunek dla siebie samego.

W miejscu, gdzie skała łączyła się z morzem, widziałem zachłanne fale, które co chwila zabierały stamtąd połamane ludzkie wraki. Czasem natychmiast topiły je w głębinach, a kiedy indziej znowu bawiły się nimi. Pływały wtedy krótki czas bezwładnie, jak drewniane lalki, jak pozbawione emocji ludzkie kukły.

Byli też tacy, którzy cudem przeżyli upadek. Morze pełne było głów wciąż wypełnionych wiarą w przetrwanie. Ci bez końca podpływali do brzegu. Wspinali się na pierwsze, pokryte zielonymi glonami głazy, by po krótkiej chwili wychnienia, ruszyć w kolejną podróż. Przeciskali się między zwłokami i wyczerpanymi ludzkimi wrakami. Usłana ludzką krzywdą, jedyna droga ku ocaleniu.

Niektórzy celowo wypływali na pełne morze. Zbyt zmęczeni, żeby toczyć kolejną walkę ze śmiercią. Widziałem w ich pustych oczach rezygnację i okrucieństwo radości, że ich męki nie potrwać długo. Płynęli pośród bladych i pomarszczonych ciał do momentu, aż powietrze w płucach zastąpiła im woda.

Chcąc odciąć się od tego koszmarowego widoku, powoli opuściłem powieki.

Unosząc się w anielskich objęciach, słyszałem jeszcze tych, którzy szepczą cichutko z zamkniętymi oczami. Niemal widziałem ich usta wypowiadające te same, co w mojej głowie nieme modlitwy. Tak jak ja, tkwiąc w swojej bezsilności, prosili Cię o pomoc. Potem gwałtownie otwierali zaciśnięte na skałach pięści, składając swój los w Twoje ręce. Widziałem Anioły mocno chwytające te dłonie. Wszyscy płakali, kiedy nadeszło ocalenie. Wtedy i ja zapłakałem.

Siedziałem wyczerpany na samym skraju życia i śmierci, na niedużym, zimnym kamieniu z twarzą złożoną w dłoniach. Wciąż czułem Twoją obecność. Podniosłem wzrok i zobaczyłem tysiące, a może miliony narysowanych promieniami zachodzącego słońca

ocalałych biedaków, rozglądających się nierozumiejącymi oczami. Kiedy nasze spojrzenia spotykały się w krótkiej chwili zrozumienia, spostrzegłem, że wszyscy mają moją twarz.

Wciąż czuję zapach morza. Wstaję. Patrzę w dół i widzę bezmiar tragedii tonących. Odwracam się i powoli stawiam swój pierwszy krok. Każdy kolejny oddala mnie od krawędzi.

Wracam do Ciebie, Córeczko.